Mairi Wilson

LIST Z PRZESZŁOŚCI

Mairi Wilson

LIST
Z PRZESZŁOŚCI

PRZEŁOŻYŁA
Monika Skowron

WYDAWNICTWO
KOBIECE

TYTUŁ ORYGINAŁU:
Ursula's Secret

Redaktor prowadząca: Aneta Bujno
Redakcja i korekta: Studio Editio
Projekt okładki: Łukasz Werpachowski
Zdjęcie na okładce: © CatLane (iStock.com)
Skład: skladigrafika@gmail.com

Copyright © Mairi Wilson 2015

Copyright © 2017 for Polish edition by Wydawnictwo Kobiece,
an imprint of ILLUMINATIO Łukasz Kierus
Copyright © for Polish translation by Monika Skowron

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I
Białystok 2017
ISBN 978-83-65740-70-0

Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:
www.facebook.com/kobiece

WYDAWNICTWO KOBIECE
www.wydawnictwokobiece.pl

Wydawnictwo Kobiece
E-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl
Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie
www.wydawnictwokobiece.pl

Trzy są rzeczy, których nie da się
długo ukrywać:
słońce, księżyc i prawda.

PRZYSŁOWIE
PRZYPISYWANE BUDDZIE

1

Edynburg, 3 czerwca 2014 roku

Lexy usłyszała, jak taksówka odjeżdża. Stanowczo przesadziła z napiwkiem, usiłując wynagrodzić kierowcy straconą szansę na lepszy kurs z innym pasażerem wysiadającym prosto z pociągu z Londynu, ale to i tak nie pomogło. Taksówkarz spojrzał na nią spode łba, wciskając pieniądze do kieszeni, i wymamrotał pod nosem coś, czego nie usłyszała, chociaż dałaby głowę, że słowa „głupie dziewuszysko" padły dość wyraźnie. Niezbyt dobra wróżba na początek paru – jak się spodziewała – trudnych dni, wypełnionych zajmowaniem się sprawami zmarłej.

Budynki piętrzyły się nad jej głową, masywne i poplamione brudami miasta. Numer 17 nie wyglądał znajomo, nie rozpoznała zresztą żadnej z kamienic stojących w szeregu na krótkiej ulicy, jednak gdy tylko przekręciła klucz w zamku drewnianych drzwi wejściowych i poczuła chłód korytarza, zalały ją wspomnienia. Zatęchła wilgoć mieszała się z ostrym zapachem wybielacza do czyszczenia bruku. Aromat skoszonej trawy wpadał do środka przez otwarte arkady wychodzące na ogród. Najpierw jęk, a potem trzaśnięcie zamykających się za nią drzwi uciszyły nagle szum odległego ruchu ulicznego, tak jak wciśnięcie guzika wyłącza radio.

Przygryzła wargę i stała, drżąc w posępnym półmroku, pogrążając się w przeszłości.

Wiedziała, co zobaczy, kiedy spojrzy ponad kręte schody na szklaną kopułę w suficie. Kurz, który oprószył padające na nią snopy kolorowego światła. Już kiedyś tu była, małą rączką trzymała silną dłoń matki. Wyobrażała sobie rozpromienioną twarz Ursuli, kiedy kobieta wołała z góry, by się pospieszyły. Jakże odstraszające wydawały się te schody dziecku, które mieszkało w parterowym domu. Hop, hop, hop, bez końca w górę. Wycofała się z ociąganiem, potrząsając głową.

– Tylko popatrz, Lex. Schody uśmiechają się na nasz widok. – Jej matka pochyliła się i wyszeptała jej do ucha: – Chyba powinnyśmy odwzajemnić uśmiech, prawda? Pokażmy, jak się cieszymy, że tu jesteśmy, dobrze?

Tak Lexy zrobiła wówczas i to uczyniła teraz, zdając sobie sprawę, że ów „uśmiech" to nic innego jak łuk w krawędziach stopni wyżłobiony mozolnymi krokami każdego, kto wchodził po schodach, także jej i matki.

Schody były warte wspinaczki, mimo że Lexy oddychała z trudem, gdy udało jej się wdrapać do mieszkania Ursuli na samej górze. Stanęła w progu, wygrzewając się w słońcu, które zalewało przestronny korytarz, wpadając przez okna wykuszowe w salonie. Widziała w oddali zielony przestwór parku miejskiego The Meadows. Dym unosił się jak mgła nad trawą, gdzie rozsiadły się grupy odpoczywających studentów – grill dogasał i świętowanie zdanych egzaminów chyliło się już ku końcowi.

Smugi różu i fioletu siniaczyły bezchmurne niebo – zapierające dech w piersiach, zaskakujące, a mimo to kojące. Wiadomo, dlaczego Ursula została tu na długo po tym, jak przeszła na emeryturę, mimo że te schody musiały stanowić dla prawie dziewięćdziesięciolatki nie lada wyzwanie. Jej upadek nie był niespodzianką, bez względu na to, co sugerowały policyjne protokoły.

Czując się jak intruz, Lexy postawiła walizkę i torbę przy drzwiach i zrobiła parę kroków w głąb korytarza. Wszystkie pokoje były otwarte, a prowadzące do nich drzwi uchylone. Popchnęła te po swojej lewej i zajrzała do sporej kuchni zbudowanej na planie litery „L", stół jadalniany i ławki wbudowano w altankę na samym końcu naprzeciwko okna. Lexy miała stąd także widok na The Meadows, choć pod skosem i bez poświaty zachodzącego słońca. Siedzenie przy oknie za stołem było wyściełane poduszkami, idealne miejsce do przesiadywania z gazetą i filiżanką herbaty o poranku. Czy naprawdę pamięta, jak siadywała tu matka, czy raczej Isobel miała to w zwyczaju?

Pokój był czysty, obok zlewu stał tylko pojedynczy talerz oparty o kubek, nieopodal pozostawiono do wyschnięcia odwrócony wazon; namalowane na nim ozdobne osty i liście błyszczały błękitami i wieloma odcieniami zieleni. Lexy z miejsca go poznała: taki sam stał w korytarzu u jej matki. Czy Ursula pozostawiła po sobie taki porządek, czy też raczej ktoś posprzątał tu po jej śmierci, wyrzucił więdnące kwiaty, zgarnął okruszki, umył naczynia?

Sprawę rozstrzygnęła sterta korespondencji na blacie kuchennym. Ale kto to mógł być? Policja? Pracownik kancelarii notarialnej? A może to opieka społeczna zajmuje się takimi rzeczami. *Miło by było*, pomyślała Lexy, jednocześnie w to powątpiewając.

Kiedy kobieta wyszła na korytarz, odezwała się jej komórka. SMS. I jeszcze jeden. Powinna odpisać, ale nie miała pojęcia co. Rzuciła okiem na torebkę, po czym odwróciła się.

Otworzyła drzwi po prawej i ogarnęła ją fala nostalgii. Dwa podwójne łóżka z pasującymi do siebie różowymi haftowanymi narzutami, mały stolik nocny i lampa, ciemna szafa podpierająca ścianę przy drzwiach, staromodna toaletka obok okna obitego siatką. Zasłony załopotały, a gdy Lexy zbliżała się do okna, żeby je zamknąć, jej odbicie w trzech lustrach nad toaletką rosło. Szklana tafla połyskiwała.

Lexy wysunęła taboret z kąta pokoju, palcami muskając róże dekoracyjnego obicia.

– Czyż nie jest piękny? – Głos Ursuli był wyraźny. – Twoja matka go zrobiła, pewnego razu podarowała mi go na urodziny. – Lexy w delikatnym zaśpiewie usłyszała dumę i miłość, poczuła ciepło, które zawsze towarzyszyło opowieściom Ursuli o dzieciństwie Isobel.

Oglądając swoje odbicie w lustrach, Lexy zahaczyła nogą taboret, przysunęła go i usiadła. Teraz ma osiem lat, usta pociągnięte czerwienią, smugi błękitu na powiekach. Matka pojawia się u jej boku, za nią stoi Ursula. Przez chwilę Lexy wpatruje się, jak wszystkie trzy

śmieją się w głos, czuje wodę kolońską, marszczy nos na odkażającą woń mydła węglowego. Nagle chłodny powiew zza zasłon owiał jej policzek, a iluzja rozpłynęła się w powietrzu.

Kobieta otworzyła na oścież następne drzwi i przystanęła z ręką opartą o zimną porcelanową klamkę. Pokój Ursuli. Ściany obite perkalem i meble z lat pięćdziesiątych. Kiedy Lexy była dzieckiem, to miejsce pozostawało dla niej zakazanym terytorium, nawet teraz miała opory, żeby wejść do środka. Nie chciała myszkować w pozostałych po Ursuli rzeczach, a już na pewno nie tutaj. Wyłowienie intymnych szczegółów z jej prywatnego życia, których Lexy nigdy nie poznała, byłoby wtargnięciem na jej teren. Jutro przyjdzie na to czas.

A tymczasem ostatnia sypialnia. To ona sprawiła, że Lexy ścisnęło się gardło, a oddech uwiązł w piersi. Pokój małej dziewczynki. To był jej pokój, kiedy przyjeżdżały w odwiedziny, ten, w którym jej matka przeżyła dzieciństwo, a potem snuła nastoletnie marzenia. Lexy musnęła dłonią książki ustawione starannie na komodzie, biblioteczka pękała w szwach, lektury wciśnięto poziomo pomiędzy ciasne rzędy ustawionych na sztorc tomów a półkę ponad nimi. Lexy czytała łapczywie tak samo jak jej matka, spędzała całe godziny podczas odwiedzin zwinięta w kłębek na łóżku, pochłaniając opowieści z taką samą ciekawością, jednakową żądzą przygód i głodem świata fikcji.

Z tego, co Lexy zaobserwowała, Ursula nic tu nie zmieniła. Kobieta usiadła na łóżku i wygładziła po obu bokach kołdrę puchową w tureckie wzory. Materiał był

w dotyku chłodny i jedwabisty, malutkie dudka pierza prześwitywały przez pościel. Zzuła buty, podniosła nogi na łóżko i położyła się na plecach. Zamknęła oczy i na powrót była dzieckiem, przysłuchiwała się gwarowi rozmów matki z Ursulą w salonie na końcu korytarza albo pobrzękiwaniu naczyń zmywanych przez nie w kuchni naprzeciwko. Czasem zapominały szeptać i słyszała, jak ucinają sobie pogawędkę, robią plany na jutro lub omawiają jakieś zdarzenie z przeszłości.

– Zoo – oświadczyła jej matka wyraźnie podczas ich ostatniej wizyty. – Ma obsesję na punkcie pingwinów, od kiedy pokazałaś jej *Pingu*.

– Naprawdę? – Ursula brzmiała na zadowoloną. – W porządku. W takim razie postanowione. Wycieczka do zoo w wasz ostatni dzień. Na mój koszt. – Trzaśnięcie drzwiczek kuchennej szafki. – Zachowamy to w tajemnicy i zrobimy jej niespodziankę.

Kroki na korytarzu zagłuszyły odpowiedź jej matki, kiedy kobiety postanowiły przejść do salonu.

Lexy przekręciła się na bok, podciągnęła kolana, wsunęła dłonie pod policzek i pozwoliła wspomnieniom powrócić. Godziny spędzone na siedzeniu między matką a Ursulą podczas oglądania w kółko tych samych odcinków kreskówki. Piski i kwilenie, gdy po usilnych namowach Lexy chodziły we trójkę jak kaczki i ślizgały się tam i z powrotem po polerowanym drewnie w korytarzu. Pingwinie rozmowy w igloo, które wybudowały dla niej pod kuchennym stołem. Ale teraz przypomniała sobie, że wcale nie poszły do zoo. Tamte odwiedziny

skończyły się wcześniej, a ona wraz z matką wróciły do domu nocnym pociągiem, co stanowiło tak ekscytujące przeżycie, że przyćmiło nawet pingwiny. Były szczęśliwe we trójkę. Co się zmieniło? Czemu wizyty ustały?

Lexy obudziło przekręcanie klucza w drzwiach wejściowych. Leżała nieruchomo, zdezorientowana, kątem oka zobaczyła godzinę 8.31 na budziku. Rano. Przespała całą noc.

Zawiasy zaskrzypiały.

Kobieta zerwała się na równe nogi. Mimo promieni słońca wpadających przez odsłonięte okno było zimno. Burczało jej w brzuchu, ale nie miała teraz na to czasu. Z trudem dochodziła do siebie, a także do wniosku, że nie jest sama. Łomot, potem stęknięcie. Ktoś potknął się o walizkę, którą zostawiła w korytarzu. Adrenalina trzeszczała w Lexy jak celofan.

– Halo? Czy ktoś tu jest? Halo?

Pociągnęła drzwi sypialni, ale odskoczyła, kiedy ręka kogoś obcego chciała je popchnąć.

– Co, do…

– Jezu! A to kto, do diabła? – Ręka nieznajomej opadła. – To… To znaczy… Przepraszam. Jestem Jenny. Pomocnica Ursuli, znaczy pani Reid… Jej opiekunka… – Ręka znów wystrzeliła w górę, wyciągnięta w geście powitania, kiedy kobieta wzięła się w garść, a uśmiech wykwitł na jej twarzy. – Tak. Właśnie. Jestem opiekunką. Jenny. A jak ty… Ach, pewnie Isobel, prawda?

Lexy odruchowo uścisnęła wysuniętą dłoń, potrząsając przecząco głową i próbując nadążyć za biegiem wydarzeń.

– Nie, mam na imię Lexy. Lexy Shaw. Isobel to moja…

– Och, Lexy. Tak, twoja matka. Wiem. Ursula opowiada, ekhm… opowiadała o tobie na okrągło.

– Naprawdę?

– No cóż, nie do końca. Ale mówiła mi o tobie sporo. Wystarczająco. – Nieznajoma roztarła sobie łydkę. – Rany Julek, ale boli. Co masz w tej walizce, beton?

– Ja… To tylko… Przepraszam… Ale kim ty właściwie jesteś? – spytała rozkojarzona Lexy.

– Jenny. Zaparzę herbatkę, dobrze? Przyniosłam mleko. – Kobieta zniknęła w kuchni, a Lexy usłyszała dźwięk torby lądującej z impetem na blacie, potem odgłos bieżącej wody i brzęk pokrywki do imbryka. Następnie Jenny zjawiła się ponownie, tym razem bez kurtki. – Jest też kawa. Ona co prawda jej nie pijała, ale wiesz, jaka była. Trzymała ją dla gości. Mimo że ostatnimi czasy nie walili drzwiami i oknami. – Kurtka zawisła na wieszaku, a Jenny znów przepadła w kuchni. – Na co masz ochotę? – zawołała, przekrzykując brzęk porcelany, najwidoczniej w kuchni Ursuli czuła się jak u siebie w domu, czym Lexy była zaskoczona. Miło byłoby wiedzieć, że ktoś jeszcze miał klucze.

– Herbatę. Poproszę herbatę. – Lexy również ruszyła do kuchni i usiadła przy stole, odprężając się nieco, gdy Jenny wyjęła paczkę herbatników. Czy ktoś uzbrojony

w oblane czekoladą ciasteczka mógłby wyrządzić jej krzywdę?

– Mogę? – spytała. – Nic nie jadłam – dodała, choć już otwierała paczkę.

– Och, oczywiście, ale w szafkach jest mnóstwo jedzenia. W zamrażarce też. Nie patrzyłaś?

Lexy potrząsnęła przecząco głową.

– Byłam zbyt zmęczona – wyjaśniła, pogryzając herbatnik. – Zasnęłam.

Lexy patrząc, jak Jenny krzątała się po kuchni, zdała sobie sprawę, że dzieląca ich różnica wieku wcale nie była taka duża, jak na początku myślała. Odniosła mylne pierwsze wrażenie przez powtarzane przez opiekunkę zwroty i manierę przypisywaną starszemu pokoleniu.

– Cóż, będziesz musiała przejrzeć tę kupkę, Lexy. – Stosik korespondencji wylądował z plaśnięciem na stole. – Niczego nie otwierałam, rzecz jasna, chociaż zwykle wszystko jej czytałam. Pod koniec była prawie niewidoma, zaćma ją wykańczała. Mówiłam jej, że powinna wykorzystać swoje znajomości i zadbać o przeniesienie na szczyt listy oczekujących, ale odmawiała. Zawsze kurczowo trzymała się zasad, nieprawdaż?

– Nie wiem… Naprawdę nie potrafię powiedzieć.

Jenny zapewne chciała dobrze i może Ursulę ucieszyłaby ta pogawędka, ale Lexy czuła irytację i w myślach szukała grzecznej wymówki, by kazać kobiecie zamilknąć. A przynajmniej nieco zwolnić.

– Cóż, nie widziałaś jej dobrą chwilę, prawda? – mówiła Jenny. – Zresztą tak samo twoja matka. – Jej

prychnięcie wyrażało wymownie przyganę. – Ale ona gorliwie przestrzegała regulaminu. I wywiązywała się z obowiązków. Och, tak, nawet w tym wieku nie uchylała się od nich. „Równia pochyła, Jenny", powtarzała, „to równia pochyła…".

Fala krytyki ustała i Lexy wykorzystała sposobność.

– Posłuchaj, przyjechałam wczoraj wieczorem. Notariusz dał mi klucze. Nie wiedziałam o tobie ani…

– Och, mną się nie przejmuj. – Jenny już wciskała gaz do dechy i znów się rozpędzała. – Podświadomie spodziewałam się, że ktoś zjawi się po… wypadku. Chociaż myślałam, że to będzie twoja matka, tak jak planowała… Isobel przyjedzie później?

– Nie.

– Doprawdy? No cóż. – Kolejne pociągnięcie nosem. – Wiem, że różniły się w paru kwestiach… Ale w końcu to był dom twojej matki, zwłaszcza od kiedy znów ze sobą rozmawiały… Pewnie to przez pracę, jak sądzę.

– Moja matka… Ona… – W tym momencie do Lexy dotarły słowa Jenny. – One rozmawiały?

– Oczywiście, że tak. W końcu były dla siebie jak matka i córka. Nie dzwoniłabyś czasem do swojej matki, nawet gdybyście od czasu do czasu się sprzeczały? – Jenny sięgnęła po herbatnik i wpakowała go sobie całego do ust, dając Lexy parę cennych sekund, by spróbowała pojąć to, co właśnie usłyszała.

– Ale… kiedy? Co się… Moja matka nigdy nie wspominała…

Jenny otrzepała okruszki z piersi, przełknęła, a potem ciągnęła, tak jakby Lexy w ogóle się nie odezwała, jednocześnie nalewając świeżo zagotowanej wody do imbryka.

– Zawsze wiedziałam, kiedy twoja matka telefonowała. Ursula była pogodniejsza, wiesz, miała jasny umysł, a kiedy Isobel zapowiedziała wizytę…

– Co?

– …nie posiadała się ze szczęścia. Minęły całe wieki, od kiedy widziały się ostatnio, jak mi powiedziała. Miała nadzieję, że Izzie zabierze cię ze sobą, pokaże jej kobietę, na którą wyrosłaś, taką naprawdę, a nie tylko na zdjęciach.

– Zdjęciach?

– Zachowała je wszystkie, bez wyjątku. Wywołane fotografie leżą w pudełkach obok kominka. Przeglądałyśmy je w deszczowe…

– Moja matka wysyłała zdjęcia? – Lexy opadła ręka z herbatnikiem. – I przyjeżdżała tutaj? Kiedy… Po co?

– Hm, o to musisz zapytać ją, prawda, Lexy? Ale na pewno ci powiedziała o swoich planach. W końcu miała odwiedzić nas w przyszłym tygodniu. Zaznaczyłyśmy datę w kalendarzu. – Jenny jedną ręką wskazała na ścianę obok drzwi, drugą podając Lexy herbatę. Widać było zakreślone wyraźnie na niebiesko trzy dni. – Dlatego właśnie – kontynuowała Jenny, chwytając w dłonie parujący kubek i siadając mimochodem na ławce naprzeciwko Lexy – sądziłam, że ty to ona. Ursula kazała mi gruntownie wysprzątać pokój gościnny, od tamtej pory

wietrzyłam go i sprzątałam na bieżąco. Nagle zjawiasz się ty i śpisz w innym…

– Jenny. – Lexy, której cierpliwość się skończyła, gwałtownie przerwała paplaninę kobiety. – Jenny, moja matka nie żyje.

Gdy Jenny wyszła, Lexy krążyła bez celu po mieszkaniu, wsłuchując się w tykanie zegara podróżnego odmierzającego sekundy, aż musiała wybrać się na spotkanie z notariuszką Ursuli. Wzięła prysznic i przebrała się, nawet pomalowała się lekko, po raz pierwszy od pogrzebu matki. A jednak czas niesamowicie jej się dłużył.

Nie mogła znaleźć sobie miejsca. To było mieszkanie Ursuli, nie jej, bez względu na to, co powiedzą prawnicy. Lexy wydawało się więc nie w porządku, że jest tu sama. Tak jakby wtargnęła na czyjeś terytorium, nie mając prawa go eksplorować. Będzie musiała opróżnić mieszkanie, by je sprzedać, przepatrzyć dobytek Ursuli, rozebrać na części jej życie. Jenny zaproponowała pomoc, gdy wychodziła, ale Lexy zareagowała powściągliwie i grzecznie, lecz wymijająco, choć nie była pewna czemu, poza faktem, że nie mogła znieść bezustannego szczebiotania, które nadeszłoby w pakiecie z pomocną ręką. Pytania i oceny Jenny. Własne wątpliwości Lexy.

Teraz, kiedy Lexy była sama, sama jak palec, pewność siebie ją opuściła. Kobieta znajdowała się w stanie zawieszenia, płynąc z prądem, czekając i ważąc w myślach to jedną, to drugą wersję siebie. Stała w rozkroku

między dzieciństwem a dorosłością. Między byciem córką a sierotą, narzeczoną a singielką.

Jej komórka jak na zawołanie zaczęła znów pikać. Lexy wyjęła ją z torebki. Tym razem ktoś dzwonił. Na ekranie wyświetliło się imię Danny'ego. Poczucie winy walczyło w niej z pragnieniem zrobienia uniku; w końcu wyrzuty sumienia wzięły górę.

– Lexy? A niech cię! Gdzie się podziewasz? Zajrzałem do mieszkania, ale cię tam nie było. Pani B. powiedziała, że wyszłaś wczoraj z samego rana, ale jeszcze nie wróciłaś. Kiedy nie zjawiłaś się w krematorium, naprawdę się zmartwiłem.

– Wszystko w porządku, Danny. Jestem w Edynburgu.

– W Edynburgu? A co ty tam robisz, do diabła? I czemu nie odbierasz telefonów ode mnie, skoro wszystko w porządku?

– Danny, przepraszam. Nie miałam ochoty rozmawiać.

– Ale przecież powinniśmy odebrać prochy, na litość boską. Prochy twojej…

– Tak. Wiem. – Oburzenie w jego głosie było irytujące, ale zasłużyła sobie. – Przykro mi. Ja… właśnie chciałam… – Zrezygnowała. Nie miała żadnej wymówki, więc nie było sensu udawać, że jest inaczej. – Odebrałeś je?

– Tak.

– Gdzie są?

– Tu. Na moim biurku. A za dziesięć minut zaczyna się seminarium.

Pomimo okoliczności Lexy uśmiechnęła się na myśl, że Danny, docent z aspiracjami na profesora, poprowadzi seminarium z prochami swojej byłej niedoszłej teściowej stojącymi na straży.

– Przepraszam, Dan. Czy możesz je przechować? Wrócę na weekend i możemy…

– Nie. Nie, jasne? Nic nie możemy. Mam plany. Mieliśmy załatwić to wczoraj. Zrobiłem sobie wolne popołudnie, żeby móc się tym z tobą zająć. Dla ciebie. Mogłaś przynajmniej się pojawić.

– Wiem, Danny. Przepraszam.

– Przestań mnie przepraszać, dobrze? Albo przynajmniej udawaj, że przeprosiny są szczere. – Był teraz rozdrażniony, w głosie miał tę dziecinną opryskliwość, której nie znosiła. Ale ponownie: zasługiwała na to.

– Dan, nie wiem, dlaczego do ciebie nie zadzwoniłam ani nie odebrałam telefonu od ciebie… Ja… Posłuchaj, coś mi wyskoczyło.

– Coś ci wyskoczyło? – Lexy nie miała wykształcenia muzycznego, ale brzmiało to, jakby Danny podniósł ton o pełną oktawę. – Cóż takiego mogło ci wyskoczyć, że okazało się ważniejsze od prochów twojej matki? Albo wiesz co? Nie odpowiadaj. Skończyłem z tym. Próbowałem cię wspierać, Lexy, naprawdę się starałem. Wiem, że nie masz nikogo innego i że jesteś beznadziejna w proszeniu o pomoc. Ale już nie jesteśmy zaręczeni. Teraz muszę myśleć o Fizz. Była niesamowicie wyrozumiała, że spędzam z tobą tyle czasu, ale nie zawiodę jej i nie odwołam

planów na weekend. To dla mnie ważne. Jedziemy do jej rodziców.

– O rany, poznasz rodziców? W takim razie traktuje cię poważnie. – Udawana beztroska w głosie Lexy zabrzmiała złośliwie, kobieta sama to usłyszała.

– To skomplikowane. Ona jest… To znaczy… Jesteśmy… – Danny odchrząknął, a jego zakłopotanie powiedziało Lexy to, czego mężczyzna nie mógł z siebie wykrztusić.

– Jest w ciąży. – To było stwierdzenie, nie pytanie. – No, no! Szybko wam poszło.

– Tak. – Usłyszała jego westchnięcie, wiedziała, że był nachmurzony. – Chciałem powiedzieć ci wcześniej, ale kiedy wyszła sprawa z twoją matką…

– Oczywiście. Rozumiem. To świetnie… Gratulacje. To znaczy, tak się mówi, prawda? Gratulacje? Zawsze powtarzałeś, że chcesz mieć dzieci.

– Ja… no cóż… Chyba tak. Tak. Jasne, że tak. Ale posłuchaj, nie o to mi chodzi. Chcę powiedzieć, że nie mogę zająć się razem z tobą prochami, a naprawdę nie chcę ich w swoim gabinecie. Szczerze mówiąc, to dość straszne. A nie mogę zanieść ich do Fizz. Co więc mam z nimi zrobić?

Lexy wyobrażała go sobie w jego gabinecie z telefonem przy uchu, wyglądał na zakłopotanego i skupionego. Był porządnym człowiekiem. Dobrym. Ale dobroć nie utrzymałaby przy życiu związku ani małżeństwa, nawet gdyby nie sypiał z absolwentką wydziału. Już wcześniej nie było dla nich ratunku…

– Lexy, obudź się! Co chcesz, żebym zrobił z nią? Z tym? Z nimi? Lexy! – Jego irytacja zaczęła przeradzać się w panikę. Studenci bez wątpienia zbierali się na korytarzu.

– Czy mógłbyś podrzucić je do mieszkania?

– Nie mam kluczy, pamiętasz? Kazałaś mi…

– Nie, chodzi mi o to, czy mógłbyś zostawić je u pani B.?

– Lexy, nie chcę jej wystraszyć na śmierć. Wiesz, jaka jest. Albo jej śmierdzący kot przewróci urnę i nasika do niej, albo coś podobnego. – Lexy próbowała stłumić chichot, ale Danny go usłyszał. – Lexy! Mówię poważnie. – Jakby nie wiedziała. Zawsze był poważny. Ale nie miała już prawa przekomarzać się z nim w ten sposób.

– Przepraszam. Po prostu to dość surrealne. Posłuchaj, naprawdę doceniam to, co dla mnie zrobiłeś. Byłeś wspaniały. Nie potrafiłabym przez to przejść bez ciebie. Mówię serio. Dzięki, Danny.

– Lexy… – Danny przerwał, a ona przygotowywała się na to, co usłyszy. – Posłuchaj, Lexy, pewnie to nie najlepsza chwila, wiem, że nie zawsze dobrze się między nami układało, ale…

– Proszę, nie. – Lexy wiedziała, w jakim kierunku zaczęła zmierzać ich rozmowa. Gdy zjawił się w szpitalu, powiedział, że nie było tu żadnych ukrytych haczyków, ale i tak miała się na baczności. I nie była pewna, czy Fizz w ciąży tak naprawdę cokolwiek zmieniała. – Dzięki, Danny. Dobry z ciebie przyjaciel. Pomogłeś mi przejść przez to wszystko – powiedziała, dobierając

ostrożnie słowa i krzywiąc się na ból, który wiedziała, że spowodują.

– Nie jestem pewien, czy potrafię to ciągnąć, Lexy. – Usłyszała, jak załamał mu się głos. – Czy potrafię być twoim przyjacielem.

– Wiem. Przykro mi, Dan. – I było jej przykro. Naprawdę przykro. Tęskniła za nim. Nie pamiętała, by kiedykolwiek czuła się taka samotna.

– Lexy… – Słyszała, jak oddychał nierówno w dzielącej ich przestrzeni. Nie mogła tego znieść.

– Posłuchaj, Danny, może włożysz to do pudła? Zakleisz je, żeby zniechęcić śmierdzące koty i podenerwowanych sąsiadów? Powiesz pani B., że to tylko książki albo coś podobnego. Czy mógłbyś to zrobić?

– Jasne – powiedział po chwili, odkaszlnąwszy. – Świetnie. Prawdę mówiąc, mam jeszcze parę twoich książek i drobiazgów. Dopakuję to do pudła i podrzucę je wieczorem.

– Świetnie. Dzięki, Danny.

Teraz nadszedł czas, by jedno z nich się pożegnało, ale cisza między nimi wciąż trzymała ich przy sobie.

– No to… – powiedziała miękko Lexy, by przerwać milczenie. – Dziecko, ha?

Powoli się rozłączyła, odłożyła telefon na stół i stała, wpatrując się w park The Meadows, po czym założyła ręce na piersi, jakby chciała sama się przytulić, i ani drgnęła do czasu, aż w końcu musiała wyjść.

WYDAWNICTWO
KOBIECE

Spodobał Ci się fragment tej książki?

Zamów ją w naszej księgarni

www.WYDAWNICTWOKOBIECE.pl

Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

www.facebook.com/kobiece

ul. Kolejowa 12B/12
15-701 Białystok
e-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl
tel. 731-019-059